NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie 197·60 Marek, Półrocznie 395·20 Mk. Rocznie 790·40 Mrk. Ameryka: 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Zmiana adresu 1 Markę.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 5 Mp., na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mp. 8·—; za wiersz nonparelilowy, jednoszpaltowy 10 Mp., za wiersz petitowy w części redakcyjn. 20 Mp.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 93 (dom własny). Telefon Nr. [illegible]

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: Julian Bartoszewicz.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Legionów 21.

W Warszawie do nabycia wszędzie. **„Promień", Łódz, Piotrkowska 81.**

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. **Numer pojedynczy 16 Marek.**

Rok XVIII. Kraków, 23. kwietnia 1921. Nr. 17.

Straszne okrucieństwa Anglików w Irlandyi



Ludność irlandzka, modląca się przed bramą więzienia w Dublinie, w chwili stracenia sześciu powstańców.

Straszne okrucieństwa Anglików w Irlandyi.

(Do illustracyi tytułowej).

Grozą przejmują każdego czytelnika opisy strasznych okrucieństw, jakich się rząd angielski dopuszcza stale wobec ludności irlandzkiej. Nie przyczynia się to zupełnie do uspokojenia wzburzonych umysłów, przeciwnie bezwzględność angielska doprowadza Irlandczyków do tem rozpaczliwszych wysiłków zrzucenia z siebie jarzma niewoli i przemocy, a krew pomordowanych męczenników staje się posiewem nowego pokolenia mścicieli, zrezygnowanych na wszystko. Ta polityka rządu angielskiego spotyka się z krytyką umiarkowańszych nawet organów tamtejszej prasy, a jak słusznie ktoś zauważył następstwem tych metod jest, iż Irlandya dzisiaj bardziej oddaloną jest od Anglii, niż... od Marsa.

Dnia 14 marca zostało w Dublinie powieszonych 6 młodych Irlandczyków po dwóch w godzinnych odstępach. Dwóch było oskarżonych, że brali udział w zamordowaniu oficerów angielskich, a reszta w zbrojnym napadzie na jednem z przedmieść Dublina. Sąd wojenny skazał ich na śmierć. Lord major Dublina stwierdził, że dwóch z nich było z pewnością niewinnych. Lloyd George odrzucił wszelkie prośby o ułaskawienie, skierowane nawet ze strony angielskiej.

Wstrząsający opis egzekucyi w następujący sposób podaje sprawozdawca „Daily Herald'a".

Pismo to zaznacza, że poprostu nie można sobie zdać sprawy ze wzburzenia ludności irlandzkiej w czasie wykonywania wyroku. Sceny przed bramą więzienną pozostaną niezapomniane dla każdego naocznego świadka. 30.000 ludzi zgromadziło się przed murami więziennymi, strzeżonymi przez wojsko i autotomobile pancerne. Ludzie klęczeli na gołej ziemi, płonęły poświęcane świece, a szmer modlitw przeplatały śpiewy nabożne. Kobiety mdlały ze wzruszenia. Krewni skazańców, stare matki, młode żony, siostry i bracia stali tuż przy żelaznych skrzydłach bramy. Na 5 minut przed g. 6 ustał wszelki szmer, zapanowała przygniatająca cisza, przerywana tylko szlochem kobiet.

Z prawie niepojętem okrucieństwem dokonywano egzekucyi na dwóch — co godzinę. Żaden dźwięk dzwonka z więzienia nie ogłosił, że dwaj pierwsi — Whelan i Mora zawiśli na szubienicy — co było pełnym łaski względem dla czterech, którzy na egzekucyę jeszcze czekać musieli! A przecie i oni znali kolejne następstwo i czas! Wiedzieli, co spotkało ich towarzyszy, wiedzieli, że po kolei i ich godzina wybije — i musieli czekać...

Znowu modlitwy i śpiewy wśród tłumów przed bramą. O godz. 7 znowu powieszono dwóch — i nastała straszliwa cisza... Po wykonaniu wyroku na dwóch ostatnich otwarła się brama więzienna i dozorca przybił na niej kartkę...

Gdy tłum rozchodził się po mieście, nie widać było ani jednej dorożki na ulicach, ani jednego tramwaju. Sklepy były zamknięte, telefon i telegraf nie funkcyonowały. Stolica Irlandyi obchodziła żałobę.

Następnego dnia żołnierze ukazywali się tylko w oddziałach, w pełni uzbrojonych, krocząc jak w pogotowiu do bitwy, albo w autach pancernych, z palcami na cynglu i lufami karabinów skierowanemi za mieszkańców. W tym dniu panował w Dublinie spokój.

Później dowiedziano się jeszcze o jednym okrutnym szczególe: U stóp granitowych murów więzienia Mountjoye klęczała w czasie wykonywania egzekucyi obok matki skazanego na śmierć Whelana, także młoda jego żona i modliła się, podczas gdy jego wieszano. W dwa dni potem porodziła umarłemu małżonkowi syna.

Pogrzeb ś. p. Arcybiskupa warszawskiego

ks. Zygmunta Szczęsnego Felińskiego.

W dniu 14 go b. m. uczciła Warszawa i cała Polska w uroczysty i podniosły sposób pamięć Arcybiskupa Szczęsnego Felińskiego, kapłana-wygnańca, którego zwłoki w dniu tym złożono w podziemiach archikatedry św. Jana.



Pogrzeb ś. p. Arcybiskupa warszawskiego X. Zygmunta Szczęsnego Felińskiego: Kapłan-męczennik, b. Arcybiskup warszawski X. Z. S. Feliński.

Gorącą miłość i przywiązanie do Kościoła i Ojczyzny przypłacił śp. Arcybiskup Feliński wygnaniem i przeszło pół-wiekową tułaczką, z której tylko martwe zwłoki powróciły do tak ukochanej przezeń Warszawy.

Zasługi Zmarłego nie były dotąd należycie doceniane. Dziś dopiero otwarły się społeczeństwu oczy, widzi ono cały ogrom Jego zasług i poświęcenia i spłaca zaciągnięty wobec Niego dług wdzięczności oddając hołd pamięci tego prawdziwego męczennika.

Jakie uczucia ogarniały w dniu tym serca wszystkich prawych Polaków, świadczy odezwa wydana przez Komitet obchodu pogrzebowego.

Brzmi ona jak następuje:

„Zwłoki śp. arcybiskupa Szczęsnego Felińskiego, spoczęły w Warszawie. Po drodze od kościoła św. Krzyża do kościoła św. Jana, mieszkańcy stolicy złożą hołd pamięci wielkiego męża. Nikogo nie powinno brakować!

Wraca do podziemi swej katedry, z której przemocą wywieziono go w chwilach nadziei i rozpaczy, rozterki i wybuchu płomiennego patryotyzmu, skąpanego krwią najgorętszą, zlanego łzami najczystszemi. — On, kapłan, bronił kościoła od ulicznych haseł polityki, oczyszczał religię od brudnej zawiści partyjnej, za to go potępiono w stolicy i kraju. Mężowi zasad czerpanych z miłości Boga i Ojczyzny, odmówiono tych uczuć, które wykołysała w nim krew matki-patryotki Ewy Felińskiej. Patryoci wykreślili z listy swej jednego z największych synów Ojczyzny. Stała się krzywda wyrządzona w Stolicy nieopatrznie przez rozgorzałe serca człowiekowi, który więcej od innych czuł, dalej patrzył, mocniej kochał, dłużej cierpiał. A kiedy, czerpiąc siły z miłości Boga i Ojczyzny, wziął na siebie obowiązek obrony uciśnionych i ujął się za nimi w najbardziej godny sposób swego stanowiska, tradycyi, wychowania, przekonań, musiał skończyć zasadą chrześciańską: „Dobry pasterz oddał duszę swą za owce swe".

Opinia publiczna musiała się kajać. Krytycy niedawni katolickiego arcybiskupa schylili czoła przed swoim pasterzem. Nie jemu jednak wprost, ale śladem jego poszło nieme odwołanie posądzań, potępienie podejrzeń. Oprawcy bowiem tysięcy polskich dzieci pognali arcybiskupa Warszawy do Jarosławia. Stamtąd drogą okrężną, po wielu latach tułaczki, wróciło ciało do wolnej stolicy. Duch, wyrywający się ku swoim, nie dożył tej chwili, by starcy, pamiętający dawne dni, mogli zaświadczyć o tej miłości, jaką zostawił po sobie, a pokolenia następne o tej pamięci, jaką zostawili im ojcowie w cichej opowieści o bohaterach Polski, o ofiarnych duszach patryotów, o pionierach cnoty obywatelskiej i bojownikach wolności, pośród których wymieniano zawsze imię księcia Kościoła, pasterza Warszawy, polskiego biskupa — Szczęsnego Felińskiego.

Tembardziej w wolnej Polsce musimy zaświadczyć o tej prawdzie przy przeniesieniu zwłok biskupa, broniącego nietylko czystości religii, ale ożywiającego serca przykładem z religii czerpanym, patryoty nie słowa ale czynu, człowieka nie wczasów i godności, ale obowiązku i zasad.

Nikogo nie może brakować w tym smutnym obrzędzie! Instytucye polskie stare i nowe, zgromadzenia wszelkich odcieni powinni stanąć do apelu. Jak żywe słowo ojców niegdyś w rozpaczy, nie rozumiejąc intencyi, godziło w osobę biskupa Felińskiego, tak żywe uczucie wdzięczności synów i wnuków winno się unosić teraz ponad trumną. Trzeba dług spłacić, obowiązek wdzięczności spełnić, a może... i ducha zaczerpnąć z tych czasów, kiedy ludzie zasad szli na niedolę dla miłej Ojczyzny i nie upadli nigdy po drodze ku szczytnej pamięci następnych pokoleń".

Już wczesnym rankiem w dniu 14 kwietnia b. r. cała przestrzeń począwszy od kościoła św. Krzyża, w którym czasowo złożono zwłoki Arcybiskupa ks. Szczęsnego Felińskiego, aż do archikatedry św. Jana zaroiła się tłumami publiczności. O godzinie 8. rano rozpoczęły się zbierać, według wyznaczonego przez Komitet programu, delegacye, równocześnie zaś w kościele św. Krzyża odśpiewano przy zwłokach wigilie, podczas których odprawili ciche msze św. księża biskupi Ryx i Jałbrzykowski.

Po mszach św. wyruszył kondukt żałobny, który prowadził Jego Eminencya ks kardynał arcybiskup



Pogrzeb ś. p. Arcybiskupa warszawskiego X. Zygmunta Szczęsnego Felińskiego: Duchowieństwo wynoszące trumnę ś. p. Zmarłego z kościoła św. Krzyża. Fot. M. Fuks, Warszawa.

Al. Kakowski. Archidyakonami byli: ks. kan. Fijałkowski, ks. kan. Puchalski i ks. kan. Brzeziewicz.

Najdostojniejszego celebransa poprzedzali: J. E. arcybiskup mohylowski, J. E. ks. Roop, ks. Zdzitowiecki, biskup kujawsko kaliski z J. sufraganem ks. biskupem Krzywickim z Częstochowy, J. E. biskup płocki ks. Nowowiejski, J. E. ks. biskup sufragan Szelążek, J. E. ks. biskup Ryx, J. E. ks. biskup sufragan Kunicki, J. E. biskup podlaski ks. Przezdziecki, J. E. biskup sufragan ks. Fulman, J. E. ks. biskup Jałbrzykowski i J. E. biskup polowy ks. Stanisław Gall.

Za celebransem postępowali: J. E. nuncyusz papieski ks. dr. Achilles Ratti w towarzystwie audytora ks. Pellegrinettiego i sekretarza nuncyatury ks. Fariolfiego.

W uroczystym obrzędzie pogrzebowym uczestniczyli przedstawiciele wszystkich stanów, przedewszystkiem jednak młodzież płci obojej z uczelni wyższych, średnich i niższych. Olbrzymi szpaler młodzieży wypełnił całą przestrzeń od pałacu Staszica aż po Zamek królewski.

Naczelnika państwa, nieobecnego w Warszawie, reprezentował ppułk. Wieniawa - Długoszewski z adjutantami. W imieniu rządu przybyli na uroczystość ministrowie: Z. Skulski i Rataj oraz kontrolor państwowy, p. Higesberger.

Przybyły reprezentacye prezydyum rady ministrów, naczelnego dowództwa, jenerałowie Iwaszkiewicz i Jacyna, komendy miasta z orkiestrą, senatów akademickich z rektorami na czele, wydział teologiczny uniwersytetu z ks. rektorem Szczepańskim, przedstawiciele misyi wojskowej francuskiej, liczni posłowie, członkowie zarządu miasta z prezesem rady I. Balińskim i prezydyum magistratu.

Dalej w obchodzie uczestniczyły delegacye: Polskiej Macierzy Szkolnej, P. amer. kom. pomocy dzieciom, Kasy im. Mianowskiego, Stow. Ziemianek, dyrekcyi Tow. kred. miejskiego, komitetu obrony kresów. Tow. lekarskiego, Tow. hygienicznego, Dźwigni. Rozwoju, Tow. wioślarskiego, Bratniej pomocy uniwersytetu, warsz. Tow. ochrony kobiet, Związku leśników polskich, pluton honorowy komendy policyi, plutony straży ogniowej, członkowie obyw. kom. wykonawczego obrony państwa. Koła pracy kobiet, cechów warszawskich, Centr. Tow. rolniczego, najwyższego sądu wojskowego, Stow. kupców polskich, polskiego Białego Krzyża, wolnej wszechnicy, akademii rolniczej, Tow. weteranów 63 roku. Delegacye powyższe tworzyły olbrzymi, imponujący pochód.

W archikatedrze po ustawieniu trumny na katafalku rozpoczęła się msza św., celebrowana przez J. Emin. ks. kardynała Kakowskiego.

Piękną mowę żałobną wygłosił J. E. ks. biskup Przeździecki, mówiąc o wielkich zasługach kapłana-obywatela-wygnańca.

Po mszy św. *Castrum doloris*. Celebrował J. E. ks. kardynał Kakowski. Poszczególne stacye odśpiewali: J. E. ks. biskup Ryx, J. E. ks. biskup Nowowiejski, J. E. ks. biskup Fulman i J. E. ks. arcybiskup Roop.



Pogrzeb ś. p. Arcybiskupa warszawskiego X. Zygmunta Szczęsnego Felińskiego Prowadzący kondukt X. kardynał Kakowski (X) w towarzystwie arcybiskupa X. Roopa. (XX) Fot. Maryan Fuks, Warszawa.



Pogrzeb ś. p. Arcybiskupa warszawskiego X. Zygmunta Szczęsnego Felińskiego: Księża biskupi w orszaku pogrzebowym. Fot. Maryan Fuks, Warszawa.



Pożegnanie dyrektora lwowskiego Okręgu Robót Publicznych: Ustępujący dyrektor, inż. Aleksander Wierzbicki w gronie uczestników uroczystości pożegnania.



Odznaczenie Płocka i dzielnych jego obrońców: Dekorowanie przez Naczelnika Państwa oficerów i szeregowców 3 pułku szwoleżerów, stojącego załogą w Płocku. Fot. Maryan Fuks, Warszawa.

W prezbiteryum byli obecni członkowie komitetu organizacyjnego pogrzebu ks. prałat Gnatowski, ks. prałat Chełmicki, hr. Roger Łubiński, pp. Wisnowski, maj. Hauke, hr. Grocholski, Czerwiskowski oraz członkowie komitetu wykonawczego pp. Jan Piszczatowski, prof. Jan Zajączkowski, Al. Barczewski i ks. kan. Alfons Trzepkowski.

Po odśpiewaniu *Castrum doloris*, trumnę ze zwłokami o godz. 1 pop. złożono w podziemiach archikatedry — na wieki.

Nad porządkiem podczas obchodu gorliwie czuwał oddział straży ogniowej pod wodzą kap. Janowskiego.

Odznaczenie Płocka i dzielnych jego obrońców.

Drugim miastem w Polsce, którego herb został ozdobiony krzyżem „Virtuti militari" jest Płock. Odznaczenie to spotkało miasto za bohaterstwo jego mieszkańców, którego tak wspaniałe dowody złożyli w czasie zeszłorocznej inwazyi bolszewickiej. — Jednocześnie krzyżami „Virtuti militari" odznaczeni zostali obrońcy Płocka: mjr. Janusz Mościcki, szereg oficerów i kilkunastu szeregowców 3 pułku szwoleżerów i 27 pułku ułanów.

Na uroczystość tę wyjechał z Warszawy Naczelnik Państwa i Naczelny Wódz. Ponieważ zamierzony wyjazd statkiem do Płocka, nie mógł dojść do skutku z powodu niskiego stanu wody, Naczelnik Państwa wyruszył do Kutna koleją.

Z Kutna, po powitaniu przez delegacye i tłumnie zebraną publiczność, Naczelnik Państwa udał się samochodem do Płocka, witany entuzyastycznie po drodze. W Płońsku powitali Naczelnika Państwa dwaj włościanie w strojach ludowych, a następnie wręczono dostojnemu gościowi wykopany przed parą dniami w lesie skarb złożony z monet srebrnych i złotych, wśród których znaleziono dwa floreny holenderskie. O godzinie 10·30 przybył Naczelnik Państwa do Płocka, gdzie przeszedł przed kompanią honorową, witany następnie przez prezydenta miasta inż. Michalskiego, który mu wręczył chleb i sól. Następnie udał się Naczelnik Państwa do starożytnej bazyliki katedralnej, gdzie go u wrót świątyni powitał biskup płocki Nowowiejski. Po odśpiewaniu *Te Deum* Naczelnik Państwa udał się do kaplicy królewskiej, gdzie spoczywają szczątki dwu królów polskich Władysława Hermana i Bolesława Krzywoustego. Na Placu Floryańskim Naczelnik Państwa wysłuchał mszy polowej, poczem udekorował herb miasta Płocka i obrońców Płocka. Następnie udał się Naczelnik Państwa na nadzwyczajne posiedzenie Rady miejskiej w Ratuszu, gdzie przyjął dyplom honorowego obywatela miasta Płocka. Na cmentarzu garnizonowym złożył Naczelnik wieniec na grobie nieznanego żołnierza obrońcy miasta, poczem podejmowało miasto Naczelnika obiadem w hotelu Warszawskim. Po audyencyi, która trwała od 7 do 8 wieczorem Naczelnik Państwa zaszczycił swoją obecnością raut urządzony przez oficerów garnizonu płockiego. Około północy wraz z biskupem Nowowiejskim wyjechał Naczelnik Państwa do Kutna, a stamtąd specyalnym pociągiem do Warszawy.



Odznaczenie Płocka i dzielnych jego obrońców: Msza polowa na Placu Floryańskim przed kościołem garnizonowym. Fot. Maryan Fuks, Warszawa.

K. CZEREMOSZ.

KRWAWE DZIEDZICTWO

3. POWIEŚĆ.

Nie było rady, musiała ustąpić! Poszedł do dalszych pokoi, a wkrótce zjawił się z papierośnicą w ręku.

– Oto dlaczego wróciłem, a pani chciała mnie skazać na post całodzienny – popatrzył z uśmiechem na dziewczynę stojącą na środku pokoju w oczekiwaniu jego odejścia.

– Mam tu coś i dla pani – dodał po chwili – pudełko czekoladek, pozwoli pani ofiarować je sobie?

– Ofiaruj je pan swoim siostrzeńcom – odparła Celina złośliwie.

– Ach nie bądźże pani tak sroga! – zawołał zbliżając się do niej z uśmiechem – Oczekiwałem panią na Woli, tę wycieczkę ułożyłem li tylko dla pani, ale los uwziął się na mnie, owładnęło mną nieprzepartej pragnienie ujrzeć panią choć na chwilę – –.

– Papierosy więc były pretekstem – spojrzała chmurnie na niego.

– Naturalnie! – zawołał z uśmiechem – pani zna przysłowie, że w miłości jak na wojnie, każdy podstęp dobry, a że ja –

– Proszę nie kończ pan – rzekła Celina z godnością podchodząc do drzwi przedpokoju – Wszystko to obraża mnie, osobliwie, że już panu powiedziałam co o tem myślę. Cukierków nie przyjmuję i dłużej z panem mówić nie myślę.

– Boi się pani?

– Czego !– zawołała ze zdziwieniem – przyzna pan jednak, że wdarcie się pańskie tutaj, kiedy jestem samą, nie może mi się podobać, jest to wielka beztaktowność.

Pan Michał zbladł. – Grzeczną pani jesteś – zauważył cierpko.

– Niemam też tego zamiaru – odparła ruszając ramionami – przy tej sposobności zaś, proszę pana po raz drugi, abyś raz na zawsze dał spokój wszelkim grzecznościom i nadskakiwaniom, mnie one nudzą, a pana wystawiają na śmieszność.

– Coraz lepiej! mów pani dalej, może jeszcze co usłyszę – rzekł pan Michał z powstrzymywaną passyą.

– Nic więcej jak tylko to, że chciałabym zamknąć drzwi za panem.

– Jestem w domu mojej siostry – zawołał podniesionym głosem.

– A to co innego – odparła Celina ze spokojem – jeżeli pan chce pilnować domu, to ja wyjdę, a pana zostawię –

– Żegnam panią – rzekł mierząc ją wściekłem spojrzeniem – i życzę więcej wychowania a mniej śmiałości.

– Dziękuję, a nie zapomnij pan pudełka z czekoladkami.

Pan Michał zmierzył ją raz jeszcze wzrokiem i wyszedł trzasnąwszy drzwiami.

– A to impertynent! – szepnęła Celina przekręcając klucz w zamku – ale przynajmniej pozbyłam go się raz na zawsze.

– Gąska, pensyonarka – mówił pan Michał ze złością schodząc ze schodów – ja śmieszny, ja! Bedzie mi nauki dawała tu, ta bona! Poczekaj pokażę ja ci! Na złość tej idyotce ożenię się z pierwszą lepszą. Ją nudzą moje grzeczności, cha, cha, cha, doprawdy to godne podać do „Muchy" lub „Dyabła". Muszę raz położyć temu koniec – rozmyślał dalej wsiadając do dorożki – dość już tego bałamuctwa, posunę w konkury, o choćby do której z panien prezesówny ch, z dobrego domu, dobrze wychowane, a wtedy, cha, cha, pożałuje ta koza!

Pan Michał powróciwszy na Wolę, zastał panią Czarską z dziećmi w ogródku restauracyjnym przy suto zastawionym stole.

– Gdzież tamci – zapytał zdejmując kapelusz i ocierając pot z czoła.

– Co za tamci – odparła z irytacyą pani Czarska.

– No brat nasz Ferdynand i mąż twój.

Poszli na kręgle.

– Nie lubię tego – skrzywił się – niemiecko-mieszczańska zabawa.

– Na Woli ujdzie, w Krakowie i jabym nie pozwoliła – odparła pani Czarska z godnością – ale gdzież to byłeś tak długo – zapytała po chwili – myślałam już, że odjechałeś zostawiwszy nas samych.

– Nie wielkie byłoby nieszczęście, masz przecież z kim wracać – rzekł zgryźliwie. – Wyszedłem, bo miałem interes do pewnego człowieka.

– Tutaj na Woli – zdziwiła się.

– No i cóż w tem tak nadzwyczajnego, dlaczego mnie tak indagujesz – zawołał zirytowany.

– A tobie co takiego – odparła szczerze zdumiona – pytam się ot tak sobie, a ten zaraz w złość wpada. Rzadko jesteś w podobnym humorze, ale dziś to już od samego początku.

– Ot lepiej patrz co dzieci robią – odburknął p. Michał.

– Aj te dzieci, te dzieci – zawołała p. Czarska widząc jak jedno porwawszy szklankę mleka rozlewało na sukienkę, a drugie smarowało buzię ciastkiem z kremem.

– Cóż winne dzieci – zawołał p. Michał – trzeba było wziąć kogo do ich dozoru.

– Chciałam choć raz być bez świadków.

– No to teraz sama uważaj na nie.

– Mój Michasiu na co to urządzać wycieczki jak się jest w podobnym humorze – zapytała p. Czarska obrażonym tonem.

– Ale bo też z temi dziećmi trudno wytrzymać. Czegoż się tak kręcisz smarkaczu – zawołał odpychając malca, nastąpiłeś mi na nogę.

– Cóż to pierwszy raz jesteś z dziećmi? – pytała zirytowana siostra – ot lepiej zabierajmy się do domu, bo jak widzę, nie odzyskasz już dzisiaj humoru.

Pani prezesowa z córkami siedziała w swoim pokoju! Dopiero co obudziły się ze smacznej poobiedniej drzemki, a że był dzień upalny, a do codziennego spaceru jeszcze za wcześnie, więc rozsiadły się wygodnie w starych, wymiętych szlafrokach i przydeptanych pantoflach. Miały wyznaczone dnie przyjęcia, dzisiaj zaś nikogo się nie spodziewały, więc na cóż stroje? Ziewały po trosze i rozmawiały o wieczorku pani Czarskiej o jej próżności, chwaleniu się i wychowaniu dzieci.

– Co je ta gąska nauczy – mówiła z zapałem p. prezesowa – takie to młode, głupie. Inaczej to byłyście wy kształcone, wybierałam najlepsze pensye, najdroższych metrów, no i udało mi się wasze wychowanie, aber es hat schweres Geld gekostet...

Córki spojrzały na nią. – Znowu ta niemczyzna mamo – zauważyła z niechęcią starsza Klara.

– Przecież same jesteśmy – usprawiedliwiała się matka.

– Ale u mamy stało się to już przyzwyczajeniem – zawoła młodsza Nelli – czy nie można to samo powiedzieć po francusku?

– Przecież wiecie, że nie umiem po francusku. –

– To na cóż używać i tych niemieckich frazesów – oburzała się Klara – Teraz to wprost na śmieszność naraża, zaraz mówią, że Niemki, Prusaczki, biurokratki!

Biurokratki; a cóż w tem złego? – zawołała matka – Czy nie rządowi, nie cesarzowi winniśmy stanowisko ojca, dochody i wszystko co mamy?

– Na miłość Boga mamo proszę się tak nie wyrażać – rzekła Klara z niesmakiem – Obracamy się w tak zwanem polskiem towarzystwie, trzeba się więc do tego stosować. Teraz nie mówi się o rządzie lecz o kraju, kraj płaci podatki, kraj daje nam to co mamy, kraj, zawsze kraj – zaśmiała się szyderczo.

– Głupi kraj und diese ganze polnische Wirtschaft – mruknęła rozgniewana matka.

– Takie czasy moja mamo – zauważyła filozoficznie Nelli – a zresztą wiazłszy między wrony, trzeba krakać jak i one.

Dyskusyę przerwało wejście służącej z oznajmieniem, że pan Michał Wirski pyta się czy może złożyć swoje uszanowanie.

– A my nieubrane – zawołała z przerażeniem p. prezesowa – dziewczęta prędzej weźcie te jasne sukienki, ja pójdę go przyjąć.

– Ależ mamo w tym brudnym szlafroku?

– Um Gottes Willen rasch, rasch! podajcie mi suknię – a ty czego tu stoisz – krzyknęła ze złością na służącą – idź, proś go do salonu, powiedz, że zaraz przyjdziemy! A zawsze powtarzam – dodała zwracając się do córek – żeby być ubraną – co innego ja, a co inego Wy! Przyszedł sam z własnej ochoty – mówiła z uśmiechem – ich sag euch es hat etwas zu bedeuten.

Panny uśmiechnęły się również – no niech już mama idzie – rzekła Klara pomagając matce w ubieraniu, my zaraz nadejdziemy.

Po chwili mama siedziała w salonie na kanapie, a wysznurowane panny na fotelach. Sztywne, wyprostowane, małomowne. Nie chciały narzucać się mężczyznom – jak mówiły między sobą – a za narzucanie uważały wesoły uśmiech i żywość odpowiedzi. Były więc poważne i uroczyste jak bizantyńskie obrazy.

Pan Michał tłumaczył sobie wszystko jak najlepiej. Ciche, skromne, pracowite, trzymały bowiem jakieś robótki w ręku. Będą dobremi żonami, a zarazem potrafią i dom reprezentować, myślał, rozglądając się po ładnem mieszkaniu i po eleganckich tualetach panien. Trochę nudne, dodawał w skrytości serca, ale korrekt, bardzo korrekt.

– Może pójdą panie na spacer – ozwał się po dłuższej pauzie w rozmowie.

– Nie wychodzę bez męża – odparła pani prezesowa, przekonana, iż temi słowy daje olbrzymi dowód miłości i zgody małżeńskiej – spodziewamy się, że pan zostanie u nas na herbacie.

– Prosimy – szepnęły panny.

Pan Michał skłonił się na znak przyzwolenia.

– Klarciu, idź przygotuj! – ozwała się matka – bo ja proszę pana – dodała zwracając się do gościa – jestem wielka *wygodnisia* odkąd córki podrosły. Zawsze mówię memu *mężu*, teraz niech one pracują, a ja będę odpoczywała.

– Takie wychowanie przynosi zaszczyt pani prezesowej.

– Mimo, że tak *wysoko* wykształcone, muszą dobrze się napracować – mówiła dalej uszczęśliwiona z pochwały. – Nelli przynieś no tę serwetę na stół co zrobiłaś niedawno.

– Ależ mamo, pan mecenas nie zna się na tem!

– Bardzo mnie jednak zajmie pracowite dzieło tak pięknych rączek...

– A widzisz? no idźże.

Pan Michał nie wiedział co mówić, gdy mu pokazano misterne kółka i gwiazdki z cienkich jak pajęczyna nici.

– Widzi pan, to są frywolitki – mówiła z ożywieniem p. prezesowa – taka serweta podszywa się jedwabiem tego samego koloru co meble i wygląda jak prawdziwa koronka.

– Piękne, bardzo piękne.

– Nieprawdaż? a jakie to pracowite, ile to się nad tem trzeba *naślipać*.

– Istotnie, choć nie rozumiem się na tem, przedstawiam sobie ile to pracy kosztowało. Kiedy panie na to czas znajdują, uprawiając rozliczne inne talenta. – Mówił p. Michał spoglądając na pannę, której blada, długa twarz i małe bez wyrazu oczy, mimo najszczerszych chęci nie pociągały go wcale.

– Na wszystko czas się znajdzie, gdy go się umie podzielić – zauważyła panna skromnie.

– Słyszałem, że pani śpiewa – zaczął po krótkiem milczeniu, które jak ołów ciążyło nad małem towarzystwem – może pani raczy nam co zaśpiewać, ja tak muzykę lubię.

– Zaśpiewaj Nelli – rzekła uszczęśliwiona matka.

Wkrótce zabrzmiał miły chociaż słaby głosik i rzewna piosenka Schuberta popłynęła przez otwarte okna.

„Das Meer erglänzte weit hinaus
„im letzten Abendscheine
„Wir sassen am einsamen Fischerhaus
„Wir sassen stumm und alleine.

Słuchając tych słów pan Michał stracił z oczu banalny salon, uśmiechniętą mamę i wykrygowane córki. Siedział u stóp morza ozłoconego zachodzącą zorzą, a o jego ramię opierała główkę dziewczyna smukła, czarnowłosa, która nigdy nie pragnęła ani podobać mu się, ani się przed nim popisywać. Jej serce biło dla niego, jej oczy spoczywały na nim, a on był szczęśliwy, szczęśliwy. –

(Dalszy ciąg nastąpi).

MATYLDA SERAO

UCIĘTA RĘKA

TŁOMACZYŁA
MARYA TOCZYSKA

37

I.

Uśmiechałem się, chcąc pokryć wzruszenie. Wyszedłem prawie natychmiast z pokoju, a w kwadrans później znajdowałem się już w hotelu Europejskim.

Nie zmrużyłem oka tej nocy. Nerwy moje były silnie podrażnione, a przed oczami mojemi stał ciągle obraz mojego biednego przyjaciela, leżącego bezwładnie z krwawiącą raną na szyi i postać hrabiny Loredana, bladej, wyniosłej, w swojej długiej białej sukni. Musiałem jednak zdrzemnąć się nad ranem, lub też była to gorączkowa wizya mojej wyobraźni, bo zdawało mi się, że ujrzałem ohydne widmo garbusa zadającego z tyłu śmiertelny cios Lambertini'emu, podczas kiedy ja stałem na progu willi Klary Loredana, jak zahypnotyzowany, nie mogąc się poruszyć, nie mogąc wydać okrzyku — obezwładniony, bezsilny, zmiażdżony okropnym wzrokiem tego przeklętego potwora! Obok mnie stała hrabina w białej sukni i z szatańskim uśmiechem, z błyszczącemi oczami przypatrywała się całej tej scenie. Sen ten zmęczył mnie strasznie, a największą moją męką, przypominam sobie, było to, że nie mogłem rozpoznać broni, którą ten piekielny garbus posługiwał się, aby zamordować mojego przyjaciela! Widziałem tylko błysk ostrza, nic więcej, ale rozróżnić nie mogłem, czy to był sztylet czy też nóż. I ta nieświadomość tak mnie strasznie dręczyła, jakgdyby na tem odkryciu polegał cały klucz tajemnicy!

Nazajutrz o godzinie dziesiątej byłem już aresztowany pod zarzutem usiłowanego morderstwa z premedytacyą na osobie hrabiego Ranieri'ego Lambertini'ego! Dwa fatalne dowody zwróciły się przeciwko mnie. Okoliczność, że spędziliśmy ostatni wieczór razem, była jednym z mniejszych dowodów. Najważniejszem zaś, znalezienie w ranie ofiary „mojego" sztyletu, wspaniałej broni hiszpańskiej z Toledo, na rękojeści której wyrzeźbione były moje inicyały. Sztylet ten, nosiłem zawsze przy sobie, nie dlatego, aby mi miał kiedyś posłużyć do obrony, lecz z tej przyczyny, iż był bardzo pięknym i cennym dla mnie. A więc mój sztylet znalezionym został w ranie zadanej mojemu przyjacielowi. Drugim, ohydnym dowodem oskarżającym mnie było zeznanie hrabiny Loredana, zwrócone przeciwko mnie. Zeznała bowiem, że ja i Ranieri już oddawna staraliśmy się o jej względy i że ta rywalizacya doprowadzała nas do kłótni ciągłych, aż doszło do tego, że owego dnia wybiegłem jak szalony z jej domu, po doznanej, nowej porażce z jej strony, dogoniłem hrabiego Lambertini'ego w alei ciemnej prowadzącej od willi i tam zadałem mu z tyłu, podstępnie cios śmiertelny. Oświadczyła również, że wybiegając nie ukrywałem wcale gróźb zwróconych do mojego rywala, a że byłem prawie nieprzytomny z wściekłości, więc cały przebieg faktu łatwo mogła sobie uzmysłowić.

Dowiedziałem się o tem wszystkiem, później, w więzieniu od mojego adwokata. Mieliśmy dowód ohydnego spisku przedsięwziętego przeciwko mnie, przez tego przeklętego garbusa. Sztylet został mi zręcznie ukradziony, a hrabina wenecka, pochodząca ze starej, znanej rodziny, kobieta młoda, piękna i bogata była podłem narzędziem potwora o zielonych oczach! Wierz mi mój przyjacielu! Dowiedziawszy się o tem, uczułem, że jestem stracony. Tembardziej, iż Ranieri, który przez trzy miesiące walczył ze śmiercią, żadnych zeznań uczynić nie mógł. Tak! byłem zgubiony! Garbus dopiął swojego celu! Ranieri co prawda żył jeszcze, ale każdego dnia oczekiwać było można jego śmierci i leżał bezwładny, nieprzytomny na łasce Klary Loredana, w jej domu! — ja zaś zamknięty w więzieniu, jakże się bronić mogłem!

Jedna tylko rzecz pocieszała mnie pośród tych wszystkich strasznych przejść i niepokojów. Świadomość, że ucięta ręka ukrytą była zawsze w Milanie wraz z innymi przedmiotami, które tam wysłałem. Nikt — nawet garbus — nie wpadł na ślad najmniejszy. Jestem prawie przekonany, że on popełnił tę zbrodnię, jedynie w celu oskarżenia mnie o nią, abym został zaaresztowany, a on uzyskał w ten sposób możność czynienia poszukiwań nie będąc krępowanym przezemnie.

Przypuszczenia moje sprawdziły się, bo w sam dzień mojego aresztowania mieszkanie moje w hotelu Europejskim przeszukane zostało przez fałszywych ajentów policyjnych, którzy przerzucili wszystkie moje kufry i rzeczy. Drugie przeszukiwanie, tym razem prawdziwe, odbyło się później i prawdziwi ajenci zabrali ze sobą listy moje, broń i kilka drobnych przedmiotów, które uznali za potrzebne przedstawić przy procesie.

Jak Ci to już zaznaczyłem, położenie moje później uległo polepszeniu. Zeznania wielu osób, znających mnie dobrze — szczególniej Twoje — a w końcu najważniejsze zeznanie uczynione przez Lambertini'ego, który choć silnie osłabiony zjawił się w sądzie i kategorycznie zaprzeczył naszej rywalizacyi w stosunku do Klary Loredana — wszystko to wpłynęło bardzo dodatnio na położenie moje, jednakże całkiem uratować mnie nie mogło.

Jeden fakt pozostał niezbity — sztylet mój znaleziony w ranie mojego przyjaciela i obecność moja przy nim tak kompromitująca — znalezienie mnie leżącego na rannym. Klara Loredana zaś dalej upierała się przy swoich zeznaniach. Badano ją przy mnie, potem w obecności Lambertini'ego — twierdziła zawsze to samo z wzrastającem zuchwalstwem i egoizmem. Nie jestem uratowany, mój przyjacielu, bo sąd może podejrzywać, iż Ranieri uniesiony szlachetnością, przebaczył mi i pragnie mnie teraz ocalić — bo on sam, nie wiele o tym zamachu powiedzieć może. Przedewszystkiem nic nie widział. Uderzony został z tyłu, niewiadomo przez kogo. O garbusie nie wspomniał w sądzie, bo ani on, ani ja, dowodów jego winy nie posiadamy. Są to tylko przypuszczenia, oparte na moralnem przekonaniu — nie ważne dla sądu. Czy wyjdę z honorem z tej całej sprawy? Kto to wiedzieć może! Dano mi prowizoryczną wolność i prawdopodobnie proces odbędzie się o wiele później. Może być także, że pozwolą mi wyjechać za granicę, nie czyniąc mi wielkich trudności.

I czy uwierzysz kochany przyjacielu, że pomimo trudności, jakie się przedemną piętrzą, staram się wszelkiemi siłami bronić przed tem okropnem oskarżeniem. Czy sądzisz jednak, że wymyśliłem cały system obrony? Nie. Przeciwnie, przygotowałem plan zaczepny, oskarżający. Ten podły garbus, od dnia, w którym go spotkałem w wagonie, od dnia, w którym stałem się właścicielem uciętej ręki — ten ohydny, nikczemny człowiek zaciążył nad mojem życiem. A ja mu przecież nic złego nie uczyniłem. Pozostawił swoją tajemniczą skrzynkę sam, przez zapomnienie w moich rękach i znikł, nie pojawiwszy się nawet na ogłoszenia poczynione przezemnie. A więc nie jest to moja wina, iż jestem w posiadaniu uciętej ręki, tej pięknej ręki kobiecej, która należeć musi do jednej z jego ofiar. Jestem niewinny, a fatalność zaciążyła nademną. Ten nędznik prześladuje mnie bez litości. Straszny jakiś węzeł połączył mnie z tym człowiekiem. Muszę go odnaleźć koniecznie. Chcę poznać jego tajemnicę, zniszczyć jego potęgę, zabić go może. Wiesz, że jestem uczciwym człowiekiem i że jestem nieprzyjacielem gwałtownych środków. Lecz walka z tym mordercą jest mi koniecznie potrzebną. Zawiązała się już przecież. Ja otrzymałem cios pierwszy, teraz na mnie kolej, aby zadać cios drugi.

Ten nikczemny garbus na zawsze może splamił imię moje, dotąd bez plamy. Wystawił mnie na pogardę i potępienie ludzi mojego świata — przygotował na mnie podstępnie ohydną zasadzkę. — Muszę się teraz bronić, muszę walczyć i atakować z mojej strony, inaczej zginę. Mam tyle pieniędzy, że niewiem co z nimi czynić. Jestem młody, zdrów i odważny, a przedewszystkiem jestem zdecydowany na zimno, poznać zagadkę tego człowieka i uwolnić ziemię od niego.

Na ten cel poświęcę majątek mój, wszystkie siły moje i przebiegłość, której mi nie brakuje. On stał się moim wrogiem śmiertelnym. On sądzi może, że jestem głupcem lub tchórzem. Na szczęście nie jestem ani jednym, ani drugim. Szukać będę tego i znajdę go — a potem zmierzę się z nim i niech Bóg będzie sędzią między nami. Posądzisz mnie może o egzaltacyę, podniecenie nerwowe. Nie, mój przyjacielu. Jestem spokojny, tak spokojny, że na zimno ułożyłem sobie plan działania. Muszę się zobaczyć z Lambertini'm i poproszę go, aby mi powiedział wszystko, co tyczy się Racheli Kabib, kobiety, którą on kocha i przez którą jest również go kochany. Muszę odnaleźć tę kobietę. Znikła ona nagle, w tajemniczy sposób, w sam dzień zbrodni. I także odnaleźć muszę kobietę o uciętej ręce, a przedewszystkiem tego przeklętego garbusa.

Czy przypominasz sobie mój przyjacielu. W dniu, w którym Ci pokazałem uciętą rękę, dziwiłeś się, że w tak cudowny sposób zakonserwowana została. Powiedziałeś mi wówczas, że znasz lekarza, któremu wiadomym jest środek zakonserwowania trupów w tem sposób doskonały — powiedziałeś mi również, że zamierzasz uczynić analizę z cieczy wyciągniętej z tej ręki i że zakomunikujesz mi rezultat tego badania.

— Czyś przystąpił do tej analizy? Co to za ciecz? Jakie ma składniki? Czy przypomniałeś sobie nazwisko owego lekarza? Odpisz mi zaraz na te pytania, proszę Cię. Dziwne przeczucie mną owładnęło. Czuję, że przez Ciebie uzyskam ten pierwszy promień światła, który prowadzić mnie będzie dalej i dopomoże do rozświetlenia ciemności mnie otaczających.

Pozostanę jeszcze kilka dni w Milanie, a potem opuszczę Włochy i udam się do Paryża, gdzie zamieszkam, czekając na rozpoczęcie mojego procesu. Powrócę dopiero wówczas, kiedy zawezwany zostanę do stawienia się przed sądem, oskarżony o zbrodnię, której nie popełniłem. Zdaje mi się, że w Paryżu będę mógł łatwiej działać, tembardziej, że tam znajdę łatwo jednego z tych sławnych detektywów, któremu powierzę moją sprawę. Jeżeli jednak tam nie znajdę pomocy, udam się do Londynu, gdzie, złożę sobie łatwo policyę sekretną i z nią działać dalej będę. Pisz do mnie, mój przyjacielu do Milanu. Pomagaj mi i trwaj w swojej życzliwości dla mnie. Robert Alimena.

W dwa dni później przybył do Milanu list od profesora Silvia Amanti zaadresowany do hrabiego Roberta Alimeny. List ten jednak nie zastał go tam już. Służba hrabiego wysłała go za nim do Paryża, do Grand hotelu, gdzie go znowu skierowano do Londynu do hotelu Piccadilly. Alimena wyjeżdżając z Paryża zapowiedział swój powrót za dni kilka.

IV.

Hrabia Robert Alimena przybył do Londynu w dzień dosyć pogodny jak na klimat angielski, to znaczy, że nie było zanadto zimno, że deszcz nie padał, a nawet od czasu do czasu poprzez grubą warstwę chmur, przebijał się skrawek wypogodzonego nieba. Alimena znał już Londyn. Był tu już bowiem dwa razy, bawiąc po dni kilkanaście. Miał tu również kilku znajomych i przyjaciół w ambasadzie włoskiej. Zajeżdżał zawsze do hotelu Piccadilly i tym razem uczynił to samo i kiedy znalazł się w wytwornym, czystym, z wygodami wszelkiemi urządzonym hotelu — odetchnął z ulgą. Wyjeżdżając z Milanu hrabia Alimena obawiał się, że nie będzie mu dozwolonem przebyć granicy. Nikt jednakże nie niepokoił go w podróży, choć wyjazdu swojego nie ukrywał, przeciwnie ze zwykłą swoją zuchwałością i lekceważeniem niebezpieczeństwa, czynił wszystko, aby na siebie zwrócić uwagę. Widocznie jednak policya włoska wydała rozkaz, aby go pozostawić w spokoju, lub też nie wydała żadnego, co wychodziło na jedno i to samo. W chwili, kiedy Alimena miał przejeżdżać granicę, ogarnął go lekki niepokój — nie był to lęk jednak — lecz wzruszenie nieokreślone i nieprzyjemne.

Nie obawiał się aresztowania władz, ale pragnienie odnalezienia garbusa było w nim tak silne, że lękał się, że może utracić wolność i nie być w możności szukania go i zdemaskowania i zwycięzenia. Był to odtąd jedyny cel jego życia, cel, jedyny, połączony z żywą i ukrytą miłością, jaką odczuwał dla kobiety, którą spotkał w ów dzień zabawy kwiatowej i która ruchem pełnym wdzięku rzuciła mu kwiat biały, paląc go spojrzeniem przepaścistych, bezdennie smutnych oczu. Ta kobieta musiała być tą, którą poszukiwał od dnia znalezienia w wagonie wiozącym go do Neapolu tajemniczej skrzynki z uciętą ręką. I dla tej to przyczyny Robert Alimena przejechawszy granicę, gdzie nikt nie myślał o zatrzymywaniu go, po raz pierwszy od wielu tygodni roześmiał się swobodnie!

(Ciąg dalszy nastąpi).

ROBERT HICHENS.

Bella Donna

Tłumaczenie z angielskiego Marji Staraszewskiej.

TOM II.

36

Śpiew i granie umilkły. Młody człowiek zobaczył nieznaną postać i powstał mówiąc coś w niezrozumiałym dla Mrs. Armine języku. Dziewczyna odpowiedziała głosem, który brzmiał ironicznie i zaczęła się śmiać. W tej samej chwili Barondi wszedł do namiotu. Dziewczyna zwróciła się do niego, wskazała Mrs. Armine i śmiała się dalej. Barondi uśmiechnął się do niej i odpowiedział.

— Co pan do niej mówi? — zapytała gwałtownie Mrs. Armine. — Jak pan śmiesz mówić jej o mnie?

— To dziecko. Nie wie o niczem. Wielbłąd już gotów.

Dziewczyna znowu zaczęła mówić do niego prędko, z pewną poufałością, która dotknęła Mrs. Armine. Gestykulowała przy tem pomalowanemi rękami, kiwając się na swym materacu. Z lutnią w jednej ręce, a drugą gładząc swą czarną brodę, wysoki, blady jej towarzysz patrzał spokojnie i poważnie. Mrs. Armine odwróciła się i wyszła szybko z namiotu. Barondi znowu zagadał wesoło do dziewczyny i podążył za nią. Zwróciła się do niego i pochwyciła jego płaszcz drżącemi rękami.

— Jak pan śmiał sprowadzać mnie tutaj? — zawołała. — Jak pan śmiał?

— Pragnąłem panią widzieć. Pani wie o tem.

— To nieprawda.

— To prawda.

— To nieprawda. Jak pan mógł mnie pragnąć mając przy sobie tę tancerkę?

Wzruszył ramionami.

— Pani nie zna ludzi Wschodu, albo zapomina, że jestem jednym z nich.

Nagła myśl jej przyszła.

— Może pan jest żonatym? — zawołała.

— Naturalnie, że tak.

Oczy mu się zwężyły i twarz jego przybrała wyraz twardy, odpychający.

— To nie leży w naszych zwyczajach rozmawiać o tych rzeczach — rzekł.

Przestraszyła się jego gniewu.

— Nie chciałam...

Puściła jego płaszcz.

— Lecz czy nie mam prawa... — zaczęła.

Urwała. Czy warto było wytaczać pretensye takiemu człowiekowi? Czy warto było mieć względem niego uczucie pragnienia, lub gniewu. Czy warto? A jednak nie mogła odejść bez porozumienia. Nie mogła wrócić do obozu nad jeziorem i prowadzić cnotliwe życie z Nigelem. Cała jej natura domagała się tego człowieka. Jego powierzchowność działała na nią z siłą, której nie mogła się oprzeć. Opanował ją swoją obojętnością. Pociągał potęgą i prawie żydowską zdolnością wzbogacania się. Jego ironia ją chłostała, a pogarda moralności odpowiadała jej pogardzie, jego dokładna znajomość jej charakteru rozgrzewała ją, łagodziła, uspakajała.

Lecz myśl o jego niewierności, kiedy jej nie widzi, pobudzała ją do szaleństwa.

— W jaki sposób znowu pana zobaczę? — rzekła.

Wszystko, co czuła, przebijało się w jej głosie.

— W jaki sposób znowu pana zobaczę?

Stał i patrzał na nią.

— I co będzie ze mną, jeżeli on się dowie, że wyjeżdżałam z obozu?

— Hanza wytłómaczy.

— A jeżeli jemu nie uwierzy?

— Pani mu wytłómaczy. Pani mu nigdy prawdy nie powie.

To był zimny rozkaz włożony na nią jak jarzmo.

— On się nigdy nie dowie, że byłem tutaj. Tej nocy jeszcze, jak tylko pani pojedzie, zwijam namioty i wracam do Kairu. Nie chcę być w złych stosunkach z Anglikami, dopóki Anglicy rządzą w Egipcie. Jestem dobrze przez nich widziany i tak musi pozostać. Inaczejby moje interesy ucierpiały, a tego nie chcę. Czy pani rozumie?

Spojrzała na niego w milczeniu.

— Powinniśmy posiąść wszystko, czego pragniemy, nie ponosząc przy tem żadnej straty. Tak było ze mną przez całe życie.

Wspomniała na wszystko, co straciła dla jednej rzeczy, której pragnęła i znowu uczuła się niższą od niego.

— I to także uczynimy — rzekł — nic na tem nie tracąc.

— To? co takiego?

— Proszę wracać do Kurun. Chciałem się jeszcze zapytać... czy nie będziesz wkrótce potrzebowała dahabijah?

— A jeżeli?

— Będziesz pani miała Lonilę.

— Czy pan chce z nami płynąć?

— Czy pani jest dzieckiem? Wynajmę ją pani mężowi za cenę dla niego przystępną. Oddam ją z całą załogą, służbą kucharzem. Pani zabierze swego męża i będzie spokojnie płynęła w górę Nilu.

Dreszcz przejął Mrs. Armine.

— Spokojnie w górę Nilu? — powtórzyła.

— Tak.

— Po co to wszystko?

— Może mąż pani tak bardzo polubi Nil, że już nie wróci.

Patrzał jej w oczy.

Usłyszała chrapanie wielbłąda.

— Wielbłąd pani gotów — rzekł.

Poszli razem do ogniska, przy którem oczekiwał Ibrahim. Zanim Mrs. Armine zasiadła w palankinie, Barondi odszedł bez słowa i kiedy wielbłąd powstał, widziała go, jak wszedł do namiotu młodej dziewczyny.

Kiedy stanęła w obozie nad jeziorem, Nigla jeszcze nie było. Prędko się rozebrała, weszła do łóżka i leżała drżąca, pomimo, że ciepłe koce ją okrywały.

Nigel powrócił o świcie.

Zamknęła oczy i udawała, że śpi.

III.

— Ruby, rzekł Nigel stojąc przy niej na pokładzie Lonili i patrząc na złote litery arabskiego napisu nad drzwiami, przez które właśnie mieli przejść — co znaczą te słowa? Barondi mówił wprawdzie wtedy w Luksorze, lecz zapomniałem. To coś z Koranu, nie przypominasz sobie?

Podniosła welon. Pozwól niech zobaczę — rzekła.

Zdawała się wysilać swą pamięć i zmarszczki ukazały się na gładkiem czole.

— Zdaje mi się, że to ma znaczyć? „przeznaczenie każdego człowieka jest przywiązane u jego szyi", czy coś takiego.

— Tak, prawda, przypominam sobie. Rozmawialiśmy o tem i powiedziałem, że nie jestem fatalistą.

— Ah, tak? Chodźmy zwiedzać dalej.

— Nasz płynący dom... dobrze.

Wziął ją pod ramię.

— Jeżeli moje przeznaczenie przywiązane u mojej szyi, to szczęśliwe przeznaczenie — rzekł — mogę je nosić jako klejnot, a nie ciężar.

Zeszli po schodkach i znikli w cieniu.

Lonila stała w Keneh, niedaleko świątyni Dendarah. Została tam przysłaną z Assini gdzie ją Barondi zostawił, jadąc do Kairu. Było życzeniem Nigla z tej właśnie miejscowości rozpocząć podróż po Nilu.

— Denderah jest pierwszą świątynią, którą zwiedzaliśmy razem — rzekł. — Zwiedzimy ją teraz dokładniej i poprosimy Afrodyty, by nam błogosławiła w podróży.

— Hathor! jakto! stajesz się poganinem? — zawołała.

— Śmiał się patrząc w jej błękitne oczy.

— Trochę; ona była egipską boginią piękności i nie przypuszczam, żeby mogła tobie odmówić swego błogosławieństwa.

A więc jej piękność była wciąż promienną! Chłód, który ją przejął w nocy nad Świętem jeziorem Kurun pozostał w pustkowiu Libii. Stanowczo nie nawiedzi jej tutaj, w złotem ciepłe Górnego Egiptu.

Dzień rozpoczęcia podróży po Nilu nadszedł i Arminowie objęli w posiadanie Lonilę.

Przeszli obok drzwi kajut dla służby i weszli do części przeznaczonej na ich własne mieszkanie. Ibrahim szedł za nimi z uśmiechniętą twarzą, a Hanza stał nieporuszony pod złotym napisem i przeprowadzał ich oczami. „Den" Barondi'ego został uprzątnięty i przybrany kwiatami. Biurko, dawniej zapełnione papierami stało puste. Lecz książki zostały na półkach. Cudne kobierce zaściełały podłogę. Ibrahim zapalił kadzidło na srebrnym trójnohu. Na stole stał wciąż marny japoński wazon, a idyotyczny zegar z kukułką przywitał ich kukaniem.

— Wschodni dom! — rzekł Nigel. — Nie myślałaś, że będziesz w nim gospodynią, prawda? Co za wspaniałe kobierce, lecz musimy usunąć ten wazon.

— Dlaczego? — rzekła prędko, prawie ostro.

Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

— Nie sądzę, żeby się tobie podobał, a przytem nie nadaje się do tego pokoju, jest w nim fałszywa nuta.

— To prawda, lecz pobudza mnie do wesołości, tak jak i ten śmieszny zegar. Nie zmieniajmy tutaj nic to niedorzeczności są przepyszne.

— Prawdziwe dziecko z ciebie — odrzekł — Dobrze, niech i tak będzie.

— Czy weźmiesz „den" Barondi'ego jako swój buduar?

Skinęła głową z uśmiechem.

— A teraz chodźmy do sypialnych pokoi.

Otwierali drzwi zaglądając do wesołych, zbytkownych pokoików. Przechodząc z jednego do drugiego. Mrs. Armine doznała miłego wrażenia, które czuje kobieta, powracająca do właściwej dla siebie atmosfery, z której przez dłuższy przeciąg czasu była wygnaną. Tutaj mogła być w swoim żywiole, gdyż tutaj nie szczędzono pieniędzy dla stworzenia czegoś jedynego w swoim rodzaju. Była pewną, że żaden dahabijah na Nilu nie był tak dobrze urządzonym, jak Lonila. Wszyscy turyści będą jej zazdrościli. Przez chwilę rozkoszowała się tą myślą, lecz wnet coś sobie przypomniała; twarz jej się zachmurzyła, wargi zacisnęły i starała się odegnać pragnienie rozbudzenia zazdrości w innych kobietach.

Nigel i ona muszą unikać tłumu, który płynie po Nilu na wiosnę. Muszą się zatrzymywać w nieuczęszczanych miejscach. Trzeba, żeby tamte kobiety jeszcze czekały i ona także musi zaczekać. Westchnęła z niecierpliwością i otworzyła nowe drzwi. Rzuciwszy szybkie spojrzenie, rzekła:

— Chcę mieć tę kajutę, Nigel.

— Dobrze moja droga, wszystko, co chcesz, lecz pozwól mi zobaczyć.

Nie ruszyła się.

— Nie bądź samolubną, Ruby.

Uczuła obejmujące ją serdecznie silne ramiona, zamknęła oczy i próbowała sobie wyobrazić, że to Barondiego żelazne ramiona.

— Albo ciebie usunę z drogi — odezwał się znowu Nigel, a ona otworzyła oczy. Cofnęła się a on zajrzał do kajuty.

— Ah to musi być sypialnia Barondiego — zawołał.

— Nie wiem lecz chcę ją mieć z powodu jej wielkości. Jest dwa razy tak duża, jak inne, prawda? mówiła obojętnym głosem.

— Tak, lecz tamte są weselsze. Ta jest zupełnie wschodnia i łóżko strasznie niskie.

Pochylił się i dotknął się go.

Musi być jednak wygodne. Ufam Barondi'emu pod tym względem. Dobrze, moja droga, weź ją; co do mnie wezmę sąsiednią. Będziemy mogli rozmawiać przez ścianę — zatrzymał się i dodał cichszym głosem — kiedy nie będziemy razem. A teraz jest jeszcze salon do obejrzenia, poczem udamy się do Denderah z Hanzą, a Ibrahim zajmie się urządzeniem wszystkiego.

— Dobrze. A może... zostawmy tamten pokój do naszego powrotu, kiedy zmrok zacznie zapadać. Wolałabym nie widzieć wszystkiego naraz.

— Stajesz się coraz więcej dzieckiem. A zatem ruszamy teraz do Denderah?

— Tak.

Spuściła welon i wyszła korytarzem na zalany promieniami słońca pokład żeglarzy. Pośród Nubijczyków lecz trzymając się osobno stał Hanza, patrząc na nią uważnie oczami zdającemi się mówić: „Dlaczego idziesz w słońce ty, która powinnaś się nauczyć kochać ciemność".

Wzrok jego niepokoił ją i działał na nerwy. U stóp schodków stanęła jakby niepewna, w którą pójść stronę, czy też zawrócić.

— Co się stało, Ruby? — zapytał Nigel — czy coś zapomniałaś?

— Nie, nie. Nie wiem tylko, czy to z tej strony, czy tu musimy wsiąść do feluki? zapomniałam już.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kronika tygodniowa

Znane i doświadczeniem wiekowem stwierdzone jest stare przysłowie, które powiada, że *quem dii oderunt paedagogum fecerunt*.

Ciężki, co każdy przyznać musi, jest zawód pedagoga, do którego świat ma rozmaite, najczęściej nieuzasadnione pretensye. Bo, jeśli synek jest osioł, lub uczyć się nie chce, całą winę przypisują rodzice z reguły pedagogowi, który jest przecież od tego, aby mu oleju nalał do głowy i odpowiednio obciął knot jego mądrości.

Ale są ponadto ludzie, stokroć opłakańszy żywot wiodący, a tymi są dziennikarze, choćby nawet pracujący w tygodnikach, więc wedle uznania zrzeszeń zawodowych nie mający prawa do korzystania w całej pełni z tytułu „dziennikarza" i przywilejów stanowi temu się należących.

Do nich cały świat ma poprostu „dzikie pretensye", które, niestety, po części muszą być uwzględnione, choćby tylko dla tak zwanego „świętego spokoju". Bo i z kimże ma w tym kierunku dziennikarz do czynienia?... Przedewszystkiem z wydawcą, naczelnym redaktorem, z przyjaciółmi pisma i ogółem Czytelników. Każdy z nich pragnie, aby tak pisał, jak się jemu podoba, w przeciwnym razie ma w nim wroga. Jednem słowem, chcąc być „dziennikarzem z zasadami", nie można mieć żadnych zasad, lecz zamienić się w chorągiewkę na dachu, posłuszną każdemu podmuchowi wiatru. Ale nawet tej chorągiewce, choć to martwy przedmiot, los ten dokucza, i dlatego skrzypi tak przeraźliwie przy każdym obrocie.

Najciekawiej jednak przedstawiają sobie ludzie „dziennikarską bezstronność", która, ich zdaniem, polega na tem, że publicysta nie powinien mieć własnych wytycznych, lecz kierować się zapatrywaniem każdego z Czytelników, co, przyzna chyba każdy, jest trudne do wykonania, jeśli się zważy, że *quot capita, tot sensus* i że te „głowy" bardzo często zmieniają swą oryentacyę, nie tylko w szczegółach, lecz i w kwestyach zasadniczych.

Żywot dziennikarza jest zatem podobnym „tańcowi wśród mieczów". Ominie szczęśliwie jeden, niewątpliwie trafi się drugi.

Uwagi na ten temat nasunął kronikarzowi pod pióro list, jaki Redakcya „Nowości illustrowanych" otrzymała w ubiegłym tygodniu z prezydyum pewnego Komitetu, zajmującego się urządzeniem w Krakowie zjazdu, jakiego, to już do rzeczy nie należy.

W liście tym oświadcza ów poniżej podpisany „Komitet", że doszło jego wiadomości, iż Redakcya ma zamiar zamieścić w swem piśmie grupę uczestników zjazdu, co nastąpić może j e d y n i e t y l k o w tym wypadku, o ile, jako objaśnienie do ryciny użyty będzie komunikat, nadesłany przez Komitet zjazdu.

Na szczęście był on zupełnie równobrzmiący z notatką redakcyjną, rozwiązanie zatem kwestyi ku ogólnemu zadowoleniu nie przedstawiało żadnych trudności, ale zapytać się godzi, czy ów „Komitet" ma racyę, występując z podobnem kategorycznem żądaniem. Gdyby w ten sposób postępowali i inni, Redakcya „dla świętego spokoju" starała się im iść na rękę, nie mogłaby mieć swojego własnego zdania. Z tego samego powodu mogliby piernikarze, urządzający zjazd zażądać, aby numer, w którym będzie o tem wzmianka, odbito w kolorze żółtym, lub futuryści, aby illustracye dotyczące ich wystawy, zamieszczono do góry nogami, dla wzbudzenia tem większego nastroju. Gdyby to jeszcze ów „Komitet" nadesłał był Redakcyi fotografię bezinteresownie, stawianie żądania byłoby bodaj częściowo wytłómaczone. Ale w danym wypadku kupiła ją Redakcya za swoje własne pieniądze, „Komitet" zaś nie chce jej przyznać pełnego prawa zrobienia użytku ze swej własności.

Pod listem znajduje się podpis nieczytelny, jak gdyby odnośny pan się wstydził, że podpisuje coś podobnego. „Komitet" mógł być pewnym, że na łamach naszego pisma nie spotka się z tem, co mu się nie należy. W ciągu ośmnastu lat istnienia pisma dały „Nowości Illustrowane" chyba już zadużo dowodów najdalej posuniętej bezstronności, nie służyły poszczególnym stronnictwom, jedynie sprawie ogólnej, wypowiadając zaś o czemś swoje zdanie, kierowały się zawsze wyrozumiałością. Dyktowanie zatem im swej woli, jeżeli się ma napisać notatkę o Zjeździe, było zatem nie na miejscu. I członkowie Redakcyi mają też swe zasady i zapatrywania i pragnęliby może w ich myśl pisać, a nie słuchać obcego dyktanda.

Poza tem i wydawnictwo wpływa też z natury rzeczy na „bezstronność" piszącego. W pierwszym zatem rzędzie musi mieć na oku interesy stronnictwa, któremu służy, nadto zaś osobiste sympatye i antypatye wydawców. Jeżeli zaś rada zawiadowcza wydawnictwa składa się z osób kilku lub kilkunastu, po największej części nie mających „zielonego pojęcia" o dziennikarstwie, los jego jest naprawdę pożałowania godny. Musi być bardzo wyrobionym gimnastykiem, by cało wyjść z tych operacyi, swoje zrobić, a nikomu się nie narazić.

Naczelny redaktor zabiera również głos i wpływa na bezstronność. Widzieliśmy list takiego pana do jednego z współpracowników, z ojcowską admonicyą, aby, ze względu na „bezstronność" pisma trzymał się od wszelkiej krytyki „osób, stojących na czele rządu, członków P. S. L. i P. P. S., oraz jakichkolwiek wycieczek antysemickich". Posłuszny zastosował się też do rozkazu i pisał odtąd jedynie o kwadraturze koła, rozwiązaniu problemu *perpetuum mobile*, stosunkach na Marsie lub katastrofie opałowej na biegunie północnym. To nie wpłynęło bynajmniej na poczytność dziennika, owszem, przyczyniło się nawet do jej zwiększenia. Mówiono sobie ogólnie, że redakcya posiada i na Marsie i na biegunie swych stałych korespondentów, inaczej bowiem nie mogłaby się znać tak dobrze na panujących tam stosunkach.

W grę wchodzą w dalszym ciągu i tak zwani „przyjaciele pisma", nic z niemi właściwie nie mający wspólnego. Są to osoby obojga rodzaju, odwiedzające codziennie lokale redakcyjne, znoszące z miasta różne bajeczki, korzystające od czasu do czasu z redakcyjnych biletów do teatru i zabierające niepotrzebne gazety na „domowe potrzeby". Znajomym opowiadają szeroko o swych stosunkach w świecie dziennikarskim i wpływie, jaki mają w poszczególnych redakcyach, wiedzie się im zaś najlepiej w okresie przedwyborczym, gdy kandydaci szukają na wszystkie strony poparcia.

Ci przyjaciele, raczej „redakcyjne przyczepy", starają się też o to, aby wywrzeć pewien wpływ na współpracowników, suszą im stale głowę i zabierają drogi czas. Wiele pism przygotowuje się obecnie do druku w nocy, należałoby się zatem spodziewać, że redakcye nie będą narażone na ich odwiedziny. Niestety!... Prawie każdy z nich cierpi na bezsenność i bardzo jest zadowolony, że ma gdzie przepędzić kilka godzin, gdy inne lokale są zamknięte.

Najbardziej przecież jest wymagającym ogół, wyobrażający sobie, że dziennik jest na to, aby występował w interesie każdej jednostki, „popierającej go" w ten sposób, iż w kawiarni lub restauracyi czytują zadarmo numer, wychodząc z zasady, że prenumerowanie pisma w obecnych ciężkich warunkach ekonomicznych, to zbytek i lekkomyślność.

Zdarzył się n. p. w Krakowie mniej więcej przed rokiem wypadek, iż kamienicznik pewien naskarżył swego sąsiada, iż iskry z jego komina zniszczyły dach blaszany na jego realności. Sąd wydelegował na miejsce rzeczoznawców, którzy orzekli, że zniszczenie nastąpiło skutkiem starości, gdyż pokryto go przed dwudziestu siedmiu laty. Ta decyzya rzeczoznawców nie spodobała się właścicielowi dachu i kamienicy, który zapowiedział, że ich orzeczenie „zerżnie" w gazetach.

I w samej rzeczy w pewnem pisemku, pojawiającem się wówczas co tydzień, znalazł się artykuł, odsądzający rzeczoznawców od czci i wiary. Właściciel potrafił przekonać redakcyę, że wyrządzono mu krzywdę, co mu się tem łatwiej udało, że lokal redakcyjny znajdował się w jego realności.

Inny obywatel zgłosił się znów do redakcyi z zażaleniem na swego gospodarza, który mu czynsz podniósł, dodając na swe poparcie, że od lat dawnych nie czytuje innego pisma, a żona w inne nic nie zawija.

— W takie sprawy się nie wdajemy — odpowiedziano mu — To rzecz prywatna, ogół nic nie obchodząca...

— Nie obchodząca? — zawołał z uniesieniem — Właśnie, że obchodząca... Lokatorów jest więcej w Krakowie, niż kamieniczników, pismo powinno zatem stanąć w obronie większości, którą krzywdzi mniejszość... Czy słyszał ktoś coś podobnego?... Jeżeli się porządnie „schlasta" jednego i drugiego, dadzą sobie może spokój. A mam chyba prawo do żądania podobnej przysługi, gdyż popieram stale wasze wydawnictwo...

— Jest pan zatem prenumeratorem?

— No... to nie...

— Więc pan kupuje poszczególne numery?

— Ciekawy jestem poco, jeśli sobie mogę w kawiarni przeczytać? Możecie jednak być pewni, że najbardziej przypada mi do gustu wasze wydawnictwo... Raz nawet, gdy mi pies zaginął, dałem do was ogłoszenie...

Niestety... nie koniec na tem jeszcze. Jeżeli dziennikarz ma swą Weronikę, może być prawie pewnym, że nadejdzie prędzej lub później chwila, gdy z ust jej irytacyą wykrzywionych, a piersi, podniesionych oburzeniem, usłyszy:

— Wyobraź sobie... Ta małpa, mecenasowa, gdym się jej wczoraj w teatrze ukłoniła, zaledwie raczyła mi nosem kiwnąć... Mój kochany! Dobierz się do jej męża, ale tak, aby sobie popamiętał raki miesiąc...

Jeżeli teraz, na zakończenie, doda się do powyższych przyjemności dziennikarskiego żywota, iż zdarzają się wypadki, że drukarze odmawiają składania artykułu, który „nie zgadza się z ich zapatrywaniem", będzie się miało słaby obrazek, jak miłe dziennikarz przechodzi nieraz momenty i czy może, choć nawet i pragnąłby szczerze, zachować swą bezstronność, a bodaj jej ślady...

List zatem owego Komitetu, który o odbytym zjeździe pozwala pisać tylko tak, jak się jemu podoba, nie powinien być dla Redakcyi niespodzianką, a, choćby nią i był nawet, dziwić się temu nie należy, jeśli się zważy, że nadszedł w kwietniu, który to miesiąc jest przecież miesiącem niespodzianek.

Seryę politycznych niespodzianek dla szerszego ogółu rozpoczął emerytowany cesarz austryacki, Karol, wybierając się z rozkazu swej żony na Węgry po koronę św. Szczepana. A tak mu się spieszyło, że nie doczekał nawet do dnia pierwszego kwietnia, ale znalazł się w Budapeszcie już 26. marca, prawdopodobnie w tym celu, aby módz „objąć posadę" już pierwszego. Niestety... Chciał urządzić światu „Prima Aprilis", tymczasem stało się odwrotnie. Trzeba było z nosem na kwintę spuszczonym wracać do Szwajcaryi w zwykłym kapeluszu, nie w koronie. Jakie go spotkało przyjęcie pod rodzinnym dachem, o tem telegramy milczą, ale można być pewnym, że niezbyt wesołe.

Jak opowiadają, ma się podobno rodzina cesarska przenieść do Hiszpanii i osiąść gdzieś w głębi kraju, daleko od morza, aby Karolek nie był narażony na złe wpływy wody, której nawet sam widok działa nań bardzo ujemnie. Poza tem, jak się do naszego korespondenta wyraził, nie będzie się tam czuł nieswojsko, pomijając bowiem okoliczność, że król Alfons jest jego bliskim krewniakiem, i że będzie mógł przyglądać się walkom byków, które przypomną mu austryacki parlament z czasów przedwojennych.

W każdym razie może on stanowić bardzo piękny przykład posłusznego małżonka, robiącego tylko to, co mu żona każe. Ta kategorya mężów wychodzi z zasady, że wprawdzie żona przysięgała im posłuszeństwo w kościele, oni natomiast ślubowali je jej potem w domu, a ta druga przysięga, jako późniejsza, ma też większe znaczenie.

Ex-cesarz Karol ma zupełne prawo do tego, aby rozpoczynał szereg niespodzianek, już bowiem za czasów jego panowania nazywano go *Kaiser Prima Aprilis*, a to z powodu, iż Karolek w jednej osobie jako cesarz Austryi i król Węgier był równocześnie Karolem I i IV. Data zaś „pierwszego—czwartego", oznacza, jak wiadomo, dzień pierwszego kwietnia, t. j. „Prima Aprilis".

Następną niespodzianką była „owacya" kobiet wileńskich na cześć francuskiego pułkownika Chardigny. Nazwano ją słusznie „owacyą", w grę bowiem wchodziły jaja, które w języku łacińskim noszą nazwę *ovum*.

Pokazało się wówczas, że nie zawsze Francuz jest wzorem galanteryi wobec dam, z drugiej zaś strony, że i mieszkanki okolic północnych mają temperament i umieją się upomnieć o swe zagrożone prawa w sposób, jakiego mogłyby im pozazdrościć nawet rodowite Włoszki. Nie możemy się jednak wstrzymać od uwagi, że Wilnianki zrobiły źle, używając w tym celu jaj, należących u nas obecnie do takich rzadkości, nie ulega bowiem wątpliwości, że wroga nam prasa zagraniczna nie omieszka skorzystać ze sposobności i podniesie alarm, że w Polsce marnuje się drogocenne artykuły żywności, a potem narzeka się na ich brak, że zatem nie jesteśmy godni otrzymania... Górnego Śląska.

Poza tem niespodzianką miał być strajk górników w Anglii, nie był nią jednak, gdyż są one dzisiaj w modzie. Możnaby raczej za niespodziankę uważać, iż się nie udał, choć był tak głośno zapowiadany. — I znów pokazało się, że Lloyd George to szczęśliwy człowiek, który się w czepku urodził. Do czego się weźmie, wszystko mu się udaje. (Gdyby to można to samo powiedzieć o naszym ministrze aprowizacyi! przyp. zecera.)

Jakie jeszcze czekają nas w kwietniu niespodzianki, to dopiero przyszłość pokaże, choć nie jest wykluczone, że mogą one nas spotkać także w maju, czerwcu i t. d.

Wznowienie „Hamleta" na krakowskiej scenie.

(Do ilustracyi na stronie 10.).

(Do ilustracyi na stronie 10.).

Teatr miejski im. J. Słowackiego wznowił po siedmiu latach „Hamleta" Szekspira korzystając z gościnnych występów p. Karola Adwentowicza.

Żadna postać stworzona przez największych geniuszów świata nie odpowiada tak naszym nastrojom, poglądom i uczuciom jak właśnie „Hamlet". Każdy w niej znajdzie coś z siebie i odszuka analogiczny stan swej duszy. I gdy Hamlet wypowiada z początku słowa: „Jak lichym, marnym, głupim i jałowym zda mi się cały obrót tego świata, to nie pielony ogród samym tylko bujnie krzewiącym się chwastem porosły" w iluż duszach znajduje dziś swój oddźwięk. Albo owe słowa na cmentarzu: „Niech sam Zeus sili się światu nastarczyć, zawsze kot miauczeć będzie, a pies warczeć".

Żaden artysta w Polsce nie potrafi tak zagrać Hamleta, jak Adwentowicz. Odtwarzając go wciela się zupełnie w postać Hamleta i oddaje wszelkie drgnienia jego duszy z uderzającą prawdą życiową. W miarę podstępny, słaby, chwiejny i skryty, to znów wybuchający jak płomień fajerwerkiem zaraz słabnącej woli, trzyma w napręzeniu i podziwia uwagę widza od początku do końca, przez cały czas pięciogodzinnego przedstawienia. Przytem głos Adwentowicza niezwykle miły w brzmieniu i oddający górujący nieraz ton sarkazmu, jest bardzo pomocny do wywołania potężnego wrażenia. Adwentowicz, grając przeżywa swego Hamleta. Miałem najlepszy dowód gdy znalazszy się za kulisami zobaczyłem go podczas pauzy. W oczach ten sam płomień, a myśl i postać jakby nieobecna i daleka od otoczenia. On odczuwał dalej księcia duńskiego i dla tego tak zdumiewał swą niepospolitą grą.

Reszta grających starała się dorównać do wysokiego poziomu gry Adwentowicza, a całość wypadła składnie i zupełnie zadawalniająco. Bardzo dobrze zagrał Poloniusza p. Julian Dobrzański. P. Malanowiczówna jako Ofelia grała zanadto powierzchownie. P. Bracki zbyt akcentował od początku w grze i charakteryzacyi złość i przewrotność króla Klaudyusza.

Podnieść również należy pracę p. Jednowskiego, jako wytrawnego i starannego reżysera.

Z wieczorów recytacyjnych.

W ostatnich czasach daje się słyszeć coraz częściej nazwisko p. Zofii Ordyńskiej art. dram. Teatru im. Juliusza Słowackiego, jako recytatorki.



Z wieczorów recytacyjnych: Artystka dramatyczna Zofia Ordyńska.

Szereg wieczorów autorskich ze współudziałem p. Ordyńskiej dał zauważyć, że jest ona pierwszorzędną siłą w tym kierunku, a jako recytatorka niema obecnie w Krakowie współzawodniczki. Wszystko cokolwiek wygłasza jest oddane z prawdziwym artyzmem. Pani Ordyńska stara się wnikać w duszę twórcy danego utworu i nie zagubić najmniejszego drgnienia i przejawu, który powinien być zaznaczony. Recytacye wygłasza ona doskonale postawionym głosem z umiłowaniem i wrodzonym artyzmem. Niczego niema tam niedopowiedzianego lub źle pojętego, dlatego słuchanie jej stanowi istotną i dużą przyjemność i daje pełnię artystycznych wrażeń.

Czy to wygłaszane przez nią nadzwyczaj barwnie i oryginalnie futurystyczne poezye Tytusa Czyżewskiego, czy to pełna sarkazmu groteska p. Aleks. Jordaena „O kobiecie, która się zgubiła..." czy pełne w smutku i melancholii niezrównane w formie poezye p. Jana Pietrzyckiego, czy też silne i klasyczne poezye Tuwima, wszystko to wygłasza p. Ordyńska z niezwykłą inteligencyą i właściwą intuicyą.

Życzyć należy p. Ordyńskiej, aby rozwijała nadal swój talent w kierunku recytacyi, bo to zdaje się jest jego wytyczna droga, gdzie potrafi wypowiedzieć się najlepiej i najszczerzej.

Od Administracyi.

W bieżącym miesiącu rozpoczęliśmy drugi kwartał naszego Wydawnictwa. Upraszamy zatem Szanownych P. P. Prenumeratorów naszych, o rychłe nadesłanie prenumeraty na drugi kwartał 1921 roku, celem uniknięcia przerwy w przesyłce, kto jej bowiem nie nadeśle, następnego numeru już nie otrzyma.

Prenumerata wynosi:

Kwartalnie . . .	197·60 Mkp.
Półrocznie . . .	395·20 „
Rocznie	790·40 „

Pojedynczy egzemplarz **Mkp. 16.**



Odznaczenie Płocka i dzielnych jego obrońców: Naczelnik Państwa Józef Piłsudski w otoczeniu wojskowości i władz cywilnych podczas mszy polowej. Fot. M. Fuks, Warszawa.

Pożegnanie dyrektora lwowskiego Okręgu Robót Publicznych

(Do illustracyi na str. 3).

W niedzielę, dnia 3 bm. urzędnicy lwowskiej Okręgowej Dyrekcyi Robót Publicznych żegnali gremialnie w sposób uroczysty ustępującego dyrektora inżyniera Aleksandra Wierzbickiego.



Wznowienie „Hamleta" na krakowskiej scenie: Karol Adwentowicz znakomity odtwórca „Hamleta" w roli tytułowej.

Imieniem kolegów i urzędników przemówił do ustępującego naczelnik Wydziału drogowego inż. Blum, wyrażając głęboki żal z powodu straty, jaką wskutek przedwczesnego ustąpienia dyr. Wierzbickiego ponosi nietylko społeczeństwo, grono kolegów i urzędników, ale przedewszystkiem budownictwo państwowe, poczem prezes Związku Inżynierów Państwowej Służby Budownictwa, inż. Południewski podnosząc nieocenione zasługi dyr. Wierzbickiego jako długoletniego, nader czynnego członka i orędownika Związku oraz energicznego obrońcy stanu inżynierskiego przed uzurpatorami władzy nad samodzielnością pracy polskich techników, wręczył mu dyplom członka honorowego, którym Związek na Walnem Zgromadzeniu jednomyślnie go zamianował.

Wspólne śniadanie oraz zdjęcie fotograficzne wśród nadzwyczaj serdecznego nastroju zakończyło uroczystość pożegnania.

Ze sportu.

Matche footballowe o mistrzowstwo kl. „A" i „B".

„Wisła I."—„Jutrzenka I." — 3:3.

Jeszcze nie przebrzmiały echa spotkania „Wisły" z „Cracovią", w której „Wisła" poniosła porażkę, a już sobotnie spotkanie z „Jutrzenką" skończyło się jej dotkliwą klęską.

„Jutrzenka" jest drużyną wcale pięknie zapowiadającą się. Do pauzy górowała nad „czerwonymi", lecz stosunek 2:2 bynajmniej nie zaznaczył się równorzędnością sił. Dopiero po pauzie „Wisła" przechodzi do ataku i po kilku szczęśliwych wypadach zdobywa trzecią i ostatnią bramkę. Dodaje to więcej emocyi „Jutrzence", która celnie wymierzonym strzałem zdobywa wyrównującą trzecią bramkę. Ostateczny wynik 3:3 stwierdza systematyczną poprawę poziomu sportowego „Jutrzenki".

Stan boiska z powodu opadów atmosferycznych nie przedstawiał się nadzwyczajnie.

Z niedzieli:

„Makkabi I."—„Cracovia I." — 2:6.

Spotkanie tychże drużyn nie budziło wysokiego zainteresowania z wiadomych powodów.

Stan boiska nie poprawił się, owszem pogorszył z tego też powodu gra nie mogła nabrać prawdziwego tempa, chociaż chwilami była bardzo ostra.

W pierwszych momentach przeciwnicy ograniczali się do wspólnego „kopania", dopiero dalsze minuty przyniosły przewagę „Cracovii", która już do końca opanowała boisko. Pierwszy goal „Cracovia" uzyskuje z karnego strzelonego przez Kotapkę, który zaczyna chwilę klęski dla „Makkabi".



Ze sportu: Członek „Cracovii", Stefan Fryc, ozdobiony złotym sygnetem w dniu setnego matchu pod barwami klubu.

P. Konkiewicz jako sędzia nie wywiązał się należycie ze swego zadania, jego postępowanie celem „opanowania boiska" było tym razem nie na miejscu. Wydalenie dwóch graczy z ataku jak uczynił p. Konkiewicz było zupełnie nieusprawiedliwione. Jeżeli nadmienimy, że przestępstwa poszczególnych graczy były nikłe, których publika dostrzedz nawet nie mogła, można było w zupełności w drodze obopólnego przeproszenia załatwić, a uciekanie się do środ-



Wznowienie „Hamleta" na krakowskiej scenie: Aktorzy przedstawiający przed królem Klaudyuszem „Zabójstwo Gonzagi".

ków ostatecznych bez poprzedniego upomnienia, dało mu w zupełności nagrodę w postaci „wygwizdania“ ze strony oburzonej publiczności. Uważamy, że wydelegowanie tegoż sędziego przez Kollegium sędziowskie na przyszłe spotkanie byłoby graniem na nerwach publiczności.

Match poprzedziło rozegranie między:

Jutrzenka II.“—„Cracovia II.“ — 0:12.

„Jutrzenka“ została przez „Cracovię“ w zupełności opanowaną, a wynik świadczy, że położono ją „na obie łopatki“.

* * *

W chwili wystąpienia na boisko „Cracovii I.“ przystąpił prezes klubu p. dr. Cetnarowski i krótko ale rzeczowo przemówił do p. Stefana Fryca, który obchodził w dniu 17 kwietnia jubileusz 100 matchu. Jest to siódmy gracz „Cracovii“, który tyle razy reprezentował barwy swego klubu, którzy z p. Gintlem tworzą żelazną obronę. Po wręczeniu przez prezesa upominku w postaci sygnetu z mogramem i napisem „K. S. Cracovia dnia 17. IV. 1921“. — serdeczne gratulacye i koleżeńskie uściski jakie zamienili poszczególni gracze, dały dowód o koleżeńskości jaka panuje w klubie. *Ezdo.*



S. p. Stefan Karczmarski, kier. druk. D. E Friedleina.

Nad świeżą mogiłą.

Wydawnictwo nasze spotkała bolesna i niespodziewana strata. W chwili gdy ostatni arkusz naszego pisma miał iść na maszynę, zawiadomiono, że w dniu 21 b. m. nad ranem zmarł nagle kierownik drukarni D. E. Friedleina, Stefan Karczmarski.

Wiadomość ta, była tem boleśniejsza, iż w przeddzień wieczór jeszcze ś. p. Karczmarski opuszczając drukarnię, zupełnie zdrów był i wesoły i nikt nie przypuszczał, że nigdy już do niej nie wróci.

S. p. Stefan Karczmarski znanym był w świecie drukarskim i w sferach obywatelskich naszego miasta. Umiłowanie zawodu, fachowa jego znajomość, iście wzorowa pracowitość, wybiły go na jedno z poczestniejszych miejsc w świecie drukarskim, a zalety serca i charaktern jednały mu liczne grono przyjaciół i zwolenników. Z wydawnictwem naszem łączyła go szczera sympatya, obecnie pracował w niem jako zarządca drukarni na drugi zawód, nie szczędząc zabiegów celem zwalczenia trudności, z jakiemi spotyka się dziś każde wydawnictwo.

Zmarł prawie jak żołnierz na posterunku pozostawiając po sobie wspomnienie cichego i rzetelnego pracownika i żal ogólny.

Poświęcenie Introligatorni maszyn. P. Repetowskiego w Krakowie.

Z uznaniem podnieść należy stały rozwój naszego rękodzieła, nie ustępującego w niczem zagranicy, w niektórych kierunkach nawet ją przewyższającego. Mimo, niepomyślne warunki, wywołane wojną, budzi się ono do coraz ruchliwszego życia, przyczyniając się bardzo wybitnie do uprze



Jedna ze sal zakładu.

mysłowienia kraju i uwolnienia go od obcych wpływów i konkurencyi.

Rozwój ten widoczny jest we wszystkich kierunkach. Robotnik nasz nie potrzebuje dzisiaj szukać zawodowego wykształcenia za granicą, znajdując w kraju zakłady przemysłowe wyposażone w najbardziej postępowe urządzenia.

Takim zakładem jest Introligatornia maszynowa pod firmą Piotra Repetowskiego w Krakowie przy ul. św. Tomasza l. 32. Istnieje w Krakowie od szeregu lat, a dzięki fachowym zdolnościom i sumienności właściciela zjednała sobie w całym kraju należyte uznanie i liczną klientelę. W czasach przedwojennych zatrudniał zakład ponad sześćdziesiąt robotników, a świadectwem harmonii, panującej między właścicielem, a pracownikami może być fakt, iż personal zakładowy trzymał wspólnie do chrztu jedną z córek swego pracodawcy. Istniała tu kasa pożyczkowa dla pracowników, obecnie wysyła się ich kosztem firmy na odpoczynek kilkutygodniowy do Zakopanego. Wytworzył się w ten sposób prawdziwie rodzinny stosunek między pryncypałem, a podwładnymi.

W ubiegłym roku zmarł właściciel ś. p. Piotr Repetowski, osobistość w życiu mieszczaństwa krakowskiego bardzo chlubnie zapisana, kierownictwo zakładu objęła jego żona Marya, wdzięcznie i mile wspominana przez naszych legionistów, których pielęgnowaniu i opiece wczasie obecnej wojny wiele poświęciła czasu i trudu, nie szczędząc na ten cel własnych funduszów, o ile szło o niesienie pomocy potrzebującym. Staraniem jej, zakład obecnie rozszerzono i doprowadzono do takiego stanu, iż w przemyśle introligatorskim Małopolski zajmuje dziś pierwsze miejsce, rozporządzając dwudziestu maszynami introligatorskiemi i mogąc skutkiem tego podjąć się oprawy ponad trzysta tysięcy arkuszy w ciągu dwu tygodni. Ponadto specyalnością zakładu są wyroby galanteryjne.

W dniu 4. b. m. odbyło się poświęcenie rozszerzonego zakładu wobec licznie zebranych gości i personalu. Poświęcenia dokonał prowincyał Zakonu Księży Reformatów ks. Janicki, poczem w gorących słowach podniósł znaczenie przemysłu, uzależnione od fachowych sił, spełniających należycie swe obowiązki. W końcu ks. Janicki złożył życzenia pomyślnego rozwoju zakładu i wręczył najdłużej w przedsiębiorstwie zajętym pracownicom: Franciszce Ligienzowej za piętnastoletnią, oraz Janinie Ma-



Ostateczne wykończenie i złocenie opraw.

słowskiej za trzynastoletnią, pełną poświęcenia pracę „milionówki“ od właścicielki zakładu.

Od Redakcyi.

Zwracamy uwagę P. T. Czytelników, że jedynie ci są uprawnieni do ubiegania się o nagrody, którzy nadeślą rozwiązania wszystkich zagadek.

Zagadki do nagrody.

Logryf.

Ułożył F. Jasieński, Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami. Rząd środkowy, czytany z góry na dół, poda nazwisko znanego współczesnego artysty-malarza:



Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska, 2. Zwierzę drapieżne, 3. Zdrobniałe imię męskie, 4. Miasto w Rosyi, 5. Zmiana księżyca, 6. Rzeka w południowej Rosyi, 7. Miejsce święte dla Turków, 8. Postać biblijna, 9. Przyrząd sportowy, 10. Polski pamiętnikarz, 11. Część ciała, 12. Samogłoska.

Łamigłówka.

Ułożył Polityk z Opola.

Z pierwszego i ostatniego wyrazu wyjąć trzy obok siebie stojące zgłoski, z innych po dwie, a otrzymamy ewentualne rozstrzygnięcie kwestyi górnośląskiej:

Podmiot, ozimina, Kałka, ślaz, pąs, mąka, góra, Arno, Diego.

Zgłoskówka.

Ułożył S. Sokołowski, Lwów.

Z każdego tytułu wyjąć jedną zgłoskę. Podadzą one zdarzenie polityczne z dni ostatnich:

Konrad Wallenrod, Konfederaci barscy, Lirenka. Lukrecya Borgia, Asan, Zamek w Karpatach, Listy z Londynu, Dziady, Nieboska komedya.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania dwie nagrody: 1) J. I. Kraszewskiego „Stara baśń“ powieść; 2) Kalendarz familijny na r. 1921.

Rozwiązanie zagadek z Nru 15.

Grzebieniówka: Liga, a, Soła, k, opal, w, Sara, k, Iran.

Zadanie do uzupełnienia: Zola, woda, Iran, Adam, Soła, toga, ogar, wola, Apis, noga, Idi, Ezop.

Rebus: Człowiek prosty opiera swoje zdanie tylko na tem, co widzi.

Zgłoskówka: Aprowizacya.

Przysłowiówka: Kwiecień plecień, bo przeplata trochę zimy, trochę lata.

Dobre rozwiązania nadesłali pp.: J. Antosz Częstochowa K. Radziszewski Warszawa, K. Cegielski Wadowice, K. Zborowski Stanisławów, H. Balicka Biała, W. Śmieszek Lublin, J. Sadowski Kraków, T. Cisowski Zakopane, H. Waligórski Tarnów, M. Kwiatkowska Warszawa, H. Maciejowski Lwów, M. Ostrowska Lwów, K. Zieliński Zalesie, M. Michalczyk Poznań, W. Zubicka Warszawa, M. Jasińska Lwów, S. Kowal Warszawa, E. Darowska Warszawa, M. Więckowski Warszawa, H. Galińska Tarnów, J. Martynowicz Lwów, J. Orzechowski Stryj, H. Boratyńska Poznań, S. Sokołowski Lwów, S. Zakrzewski Sandomierz, S. Sygowska Rzeszów, S. Grabowski Wadowice, S. Sadowski Warszawa, S. Kowalski Warszawa, J. Wierzbicki Piotrków, S. Zajączkowski Rzeszów, W. Rozwadowski Poznań, H. Walewska Kraków, M. Wysocka Jasło J. Opolski Łódź, M. Ogibińska Nowy Sącz, K. Dębiński Jasło, H. Famocka Stanisławów, H. Sadowska Warszawa, J. Nowak Sandomierz, W. Dutkiewicz Przemyśl, W. Smiszkiewicz Milówka, M. Lisowski Stanisławów, H. Malinowski Warszawa, W. Teodorowicz Warszawa, Z. Zawadzki Stryj, J. Jabłoński Lublin, J. Martynowicz Kraków, J. Bielawski Rzeszów, S. Piekarski Poznań, K. Dębicki Sambor, S. Marzec Krasne, M. Mańkowska Warszawa, M. Woźniakowski Warszawa, W. Lange Toruń, J. Kalinowski Poznań, M. Brandys Kraków, H. Blonder Chrzanów. C. Górny Limanowa, Roman Guzik Firlej Lubartów, E. Gugulski Jędrzejów.

Nagrody przez losowanie otrzymali: 1) J. Antosz Częstochowa (książka), 2) H. Sadowska Warszawa (kalendarz). Upraszamy o nadesłanie należytości na koszta poleconej przesyłki nagrody.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Julian Bartoszewicz. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. F. Friedleina